

Nazywam się Nela Boratyn, z d. Wilczyńska, po pierwszym mężu Roman. Mój ojciec przed wojną był oficerem, rotmistrzem w dziewiątym pułku strzelców konnych. W chwili wybuchu wojny był już na emeryturze. Wychowywał mnie tak, jak wychowywał się chłopców, bo nie miał syna. Od 1930-go roku byłam zapisana do Przesposobienia Wojskowego.

Po zdaniu matury - w roku 1934 - zostałam skierowana na kurs instruktorski Przesposobienia wojskowego do Spały. Wkrótce, po kursie, objęłam powiat białostocki. Było to w czasie, gdy starostą białostockim był Karol Szagon, kapitan. Wówczas pracowałam na powiaty: białostocki, wołkowyski i wysoko-nazowiecki. Dojeżdżałam do Wołkowyska na wykłady do gimnazjum, sporego, bo uczyło się tam 950 osób. Było tak dlatego, że nauczycielka - Giga Tymińska, siostra p. Szagonowej, nie chciała sobie psuć rozkazodastwa gimnastycznego na wojskowe.

Przez ostatnie pół roku przed wybuchem wojny przebywałam w Wołkowysku, żeby uspokoić pewne elementy wśród kobiet i prowadzić przesposobienie wśród młodzieży pozaszkolnej. Wiele tu było nauki higieny, omawianie zachowania się na wypadek jakiegoś napadu niż przeskolenia wojskowego. Było to przecież na wsiach, gdzie kobiety były bardzo nieufne. Zawsze stały w oknach i pilnie słuchały, o czym mówiłam dziewczętom w szkole.

Tak było przez ostatnie pół roku, kiedy to zostałam odwołana przez DOK 3 Grodno. Skierowano mnie do Białegostoku, gdzie objęłam PW i WF na centrali międzymiastowej. Wówczas jakby kierownikiem Poczty i Telegrafów był mjr Lukusza a na centrali międzymiastowej p. Marchlik. Był niezbyt lubiany. Na dobrą sprawę nigdy nie dowiedziałyśmy się, kim on naprawdę jest: zawsze siedział na podsłuchu i był niesympatyczny wobec dziewcząt. Ja w tym czasie przygotowywałam nasze koleżanki do różnych, sportowych wyczynów. Nie zaniedbywałyśmy wojskowego przygotowania

Tuż przed rozpoczęciem wojny - w sierpniu - tatuś mój został od-

wołany z emerytury i został komendantem taborów w brygadzie u gen Kmicica-Skrzyńskiego /chodzi o Podlaską Brygadę Kawalerii/

Tego samego dnia poszłam na noc do centrali. Tam zastałam dyżurną, zapłakaną, która nie mogła sobie poradzić z masą zamówień. Wszystkie było ze znakiem "mob", ze znakiem wojskowym. Pracałam od godziny trzeciej rano /od ósmej wieczorem. Bez przerwy.

Wróciłam do domu. W dwa dni później - z 26 na 27 sierpnia płk Szafranowski /komendant wojewódzkiego sztabu wojskowego/ przysłał kartę "mob" na moje nazwisko. Moim przełożonym był kpt. Piko, wydział /oddział?/ drugi.

Otrzymałam polecenie nałożenia munduru i zameldowania, że centrala jest pod moją kontrolą. Stanowisko służbowe mogłam opuścić tylko na jedną godzinę w ciągu dnia, pójść do domu. Ojca już wówczas nie zobaczyłam. Spotkaliśmy się, gdy wrócił z wojny, gdy w mieście byli Niemcy.

Tak rozpoczęła się moja służba. Nocować oczywiście musiałam na centrali. W tym celu otrzymałam polowe łóżko i spałam między akumulatorami.

Tak zastał mnie początek wojny. Dyżury były normalne. Wyglądało to tak, jakby wszystko było w porządku. Kiedy Niemcy znaleźli się na przedmieściach Białegostoku, otrzymałyśmy polecenie opuścić centralę i wrócić do domu. Był to bardzo przykry moment. Spotkaliśmy się wszyscy, pożegnaliśmy się i rozeszliśmy się.

Wkrótce z przerażeniem patrzyłam na Szwaba, jadącego na motocyklu. Miał ze sobą zwoje drutu, tyczkę i za jej pomocą zarzucał druty. W ten sposób zakładał linię telefoniczną na ulicach miasta. To było przykre.

Doświadczaliśmy się, że w szkole nr 1 przy ul. Żwirki i Wigury

ment, natychmiast wskoczyli do czekającego autobusu i szybko odjechali, wręcz uciekli.

Nie widziałam momentu wkraczania bolszewików do miasta, gdyż akurat wówczas byłam w szkole nr 1. Wówczas tylko zawołałyśmy: uciekajcie, Niemcy wyszli, bolszewicy są. Wszyscy ruszyli nie w stronę ul. Warszawskiej, bo tam był magistrat a w nim bolszewicy, lecz w stronę przeciwną, przez płoty. Uciekali wszyscy: kto żył i mógł się ruszać.

Wieką pomocą dla nas byli harcerze-kolarze, którzy jeździli po całej prowincji z zawiadomieniami do rodzin.

Gdy bolszewicy weszli, jeńcy uciekli a myśmy wróciły do domu. Zaczął się okres wyczekiwania: co będzie dalej? Wkrótce służbowi przynieśli nam wezwanie do pracy. Zanosiło się na komedię, bo z nas nikt po rosyjsku nie mówił. A jeśli nawet coś niecoś rozumiał, to się z tym nie chwalił. Przy tej okazji pamiętam, jak mnie obrugali gdy zapytałam, co to takiego Wissarionowicz? Nie wiedziałam, że to jest "otczestwo" Stalina. Sklęli mnie od ostatnich. Jako małe dziecko, trzyletnie dziecko, prawdopodobnie rozumiałam ten język na Kijowszczyźnie. Potem, przez ponad dwadzieścia lat nie słyszałam tej mowy. Teraz zaczęło się pośpieszne uczenie mnie języka rosyjskiego po kilka godzin dziennie. Musiałam przecież zanęć ten język na centrali międzymiastowej.

W początkach dochodziło do komicznych sytuacji. Kiedyś zadzwonił jakiś typ z pytaniem: dziewczka, u was jst' li tuman? /czy u was jest mgła?/, na co odpowiedziałam, "ty sam tuman". Nie wiedziałam, co oznacza słowo "tuman". Dołożyłam mu coś jeszcze. A on zaczął się tłumaczyć, że przecież pytanie nie było obraźliwe.

Po jakimś czasie do centrali przyprowadzono Sowietki, stachanowki. One dokładnie przyglądały się wyposażeniu centrali i łączyły to, co mogły.

Przed samym odejściem, Niemcy wycięli 3/4 metra głównego kab-

znajduje się obóz jeniecki /żołnierzy polskich/. Natychmiast zgłosiłyśmy się tam do pracy. Tam nie było żadnego szpitala. Ranni leżeli na podłodze, bez żadnej opieki, w strasznych warunkach. Niemcy ich nie karmili i w ogóle się nimi pod tym względem nie interesowali.

Wśród jeńców było kilku wyższych oficerów, którzy natychmiast zdjęli swoje dystynkcje. Myśmy postarały się o jednokonny wózek. Tym wózkiem wywiozłyśmy ich jako ciężko chorych do szpitala, do doktora Deresza, który umieścił ich w separatkach jako furjatów. Było to oczywiście obliczone na to, żeby ich ratować. Pozostała masa jeniecka nadal nie otrzymywała jedzenia i nikt się nimi nie interesował. W tej sytuacji wielką pomocą byli dla nas harcerze-kolarze. Pytałyśmy jeńców, kto z nich jest z okolic Białegostoku.

Najpierw pytałyśmy żołnierzy-jeńców, kto jest z okolic Białegostoku lub z miasta. Za pomocą kolarzy zawiadamiano rodziny. Myśmy nie prowadziły żadnej ewidencji. Ale ludziom trzeba było dać jeść. Przychodziły kobiety, przynosiły całe duże miski racuchów. Znalazła się też zupa.

Nęcą rozstrzelano 12 osób. Pochowano ich, jeszcze żywych z lewej strony na boisku sportowym. Te groby ekshumowano dopiero, gdy weszli bolszewicy. Wiadomo, że w czasie egzekucji oni nie byli uśmierceni, gdyż starali się wygrzebać z dołu.

Niemcy panicznie bali się bolszewików. Starannie ubrani stale nam powstarzali: nie zostawajcie tu, jedźcie z nami. Myśmy tego nie mogły zrozumieć: dlaczego oni tak nas namawiają, żebyśmy przechodziły do Warszawy. Nikomu z nas do głowy nie przyszło, żeby to zrobić. Nadchodziła pora przekazania miasta bolszewikom.

Niemcy wyszli z obozu, zostawili tylko jeden autobus. Czekali w magistracie, żeby wchodzącym bolszewikom zdać miasto. Kiedy tylko dokonali aktu przekazania miasta i podpisali stosowny doku-

la. W tej sytuacji o jakimkolwiek połączeniu lokalnym nie było mowy. Bolszewicy ustawili swoje aparaty, swoje urządzenia techniczne i kazali nam pracować. A myśmy zupełnie nie znały tego sprzętu i początkowo byliśmy zupełnie nie do użytku.

Następnie zaczęli nas uczyć. W domu miałam ciężkie lekcje, bo od początku byłam w konspiracji. Już zaraz Lipke na polecenie majora Łukosia zaprzysiął mnie do Służby Zwięstwu Polski. Natychmiast przydzielono mi dwie łączniczki. Jedna z nich to była Teresa Witych/Wittyh/, mimo niemieckiego nazwiska była Polką. Oczywiście nie mogłam wiedzieć, że była kuzynką mojego przyszłego męża. Mieszkała gdzieś przy ul. Warszawskiej. Była z rodziny /domu/ Łuszczewskich.

W sprawie drugiej łączniczki - potrzebny był nam ktoś, kto by mógł bez przeszkód dobrze funkcjonować na pociągach. Wybrałam Stachę Kowalską dlatego, że jej ojciec był kolejarzem a ona sama miała rozległe znajomości wśród kolejarzy. Ona to właśnie dowoziła meldunki do gen. Tokarzewskiego, do Łucka i Kowla przewoziła te meldunki, które przychodziły z Warszawy do nas. /Stacha zmarła przed kilkoma laty w Londynie/.

Ze Stachą spotkałam się w więzieniu w Mińsku. Myśmy wszystkie były aresztowane: jedna po drugiej. Najpierw aresztowano Teresę, w dzień, a mnie aresztowano w nocy. Naszym znakiem rozpoznawczym była duża, odróżniająca się broszka, wykonana z drobnych kwiatków. Był to mój znak rozpoznawczy dla tych dziewcząt, które mnie potrzebowały. Ja zawsze musiałam ją mieć w klapie. Kiedy przyszli mnie aresztować, musieli już o tym wiedzieć, gdyż wskazując na broszkę mówili: o, to nam nada. A broszka była akurat przy moim płaszczu. Aresztowali mnie w domu matki mojego męża. Najpierw zamierzali przyjść do naszego mieszkania, przy ul. Parkowej" tam mieszkałam

z mężem. Gdy przyszedli, schowałam się za fortepian a następnie uciekłam do matki męża. Powiedziałam teściowej, że oni kogoś szukają. Nie sądziłam, że chodzi o mnie. Myślałam, że oni szukają dwóch studentów, którzy tam mieszkali i stale uczyli się angielskiego. Przyszli nocą i aresztowali nie tych studentów ale mnie. Nastąpiło to nocą z 26/27 kwietnia 1940 roku.

Przez następne 24 godziny trzymali mnie w Izbie Skarbowej. Było to w budynku przy ul. Mickiewicza. Przez cały czas była awantura z tego powodu, że byłam aresztowana jako Wilczyńska. Miałam pseudonim Krystyna Kalinowska. Przez cały czas ironicznie witali mnie: zdrastwujcie, grażdanka Kalinowska. Przez cały czas regularnie odpowiadałam: ja nie Kalinowska, ja Roma Wilczyńska. Na to odpowiadano: nie, nie, wy nie Wilczyńska, wy Kalinowska. W ten sposób nie chcieli uznać mojego nazwiska po mężu. Stało się tak dlatego, że w konspiracji nie byłam rejestrowana pod nazwiskiem męża lecz pod nazwiskiem panińskim, gdyż do konspiracji wstąpiłam na samym początku okupacji, a dopiero w styczniu wyszłam za mąż.

Taka "przepychanka" trwała przez całe 24 godziny. Przesłuchujący mieli porozkładane papierki na biurku i sprawdzali. Ciągłe padało pytanie: rozkażicie wsio padrobno/opowiedzcie wszystko dokładnie/. No to opowiadałam im opowiadki z "tysiąca i jednej nocy". Uważałam tylko, żeby zawsze mówić to samo. Najczęściej odpowiadałam: nic nie wiem. Nie jestem żadna grażdanka Kalinowska, nie wiem, kto to taki, nazywam się Roma Wilczyńska.

Kiedy kazano mi podpisać zeznanie jako "Kalinowska" odpowiedziałam, że podpiszę jako Wilczyńska.

Myślę, że ta rozbieżność nazwisk stała się przyczyną wielu następstw. Po moim aresztowaniu mój mąż wysyłał co miesiąc paczki. Nie otrzymałam nigdy nic dlatego, że mojemu mężowi nie mogło do

głowy, że może być rozbieżność w nazwiskach. Zresztą oni najzwyczajnie powiedzieli, że z tego powodu nie otrzymam paczki.

Po 24 godzinach przewieziono mnie do więzienia przy Szosie Baranowickiej. Tam rozebrano mnie do naga, dokładnie sprawdzono ubranie a przy tej okazji poobcinano wszystkie guziki. Mimo tak skrupulatnej rewizji zdołałam ukryć w pantoflu zdjęcie mojego męża. Przeszłam przez liczne obozy i więzienia a to zdjęcie uratowałam. To zdjęcie, starannie złożone, nie było większe niż paznikieć. Już później, po wydostaniu się z ZSRR zrobiłam w Tel Awiwie jego powiększenie. To małe zdjęcie miałam zawsze w bucie, za podszewką.

Po rewizji zapytałam, jak ja teraz pójdę, przecież wszystko opada po obcięciu guzików, pończochy też spadają. Odpowiedziano: nic nie szkodzi. Pójdiesz do celi to się nauczysz.

Zaprowadzono mnie do celi, gdzie zastałam jakąś panią, która siedziała i płakała. Przedstawiłam się. Tą płaczącą panią okazała się nauczycielka gospodarstwa domowego - Julia Orłowska, nauczycielka ze szkoły przeżyłowej z Białegostoku.

Po jakimś czasie kazano nam iść spać. Rano otworzyły się drzwi i do celi wszedł taki mały "Żydziak", mały kundel. Ja siedziałam spokojnie na pryczy. To go wyraźnie zdenerwowało: "Kagda naczałstwo wchodził, nada wstat". To mnie zirytowało: skoczyłam do niego bezpośrednio z pryczy z wyraźnym zamiarem agresji. On nie czekał na to, co się zdarzyć może i szybko zamknął drzwi.

Po jakimś czasie wszedł ponownie i podał mi kawałek chleba. Powiedziałam: daj nóż, jak ja to pokroję. A on na to: nauczysz się.

Już w czasie pierwszej nocy zabrano mnie na "dopros". Najpierw poszła pani Julia a po niej ja. Po drodze spotykało się na korytarzu jakichś więźniów, których natychmiast, na czas naszego prze-

chodzenia stawiano twarzą do ściany. Przeróżające było to, że przez cały czas rozlegały się straszliwe kbyki, dzikie krzyki torturowanych ludzi. A ja miałam tę świadomość, że przecież tu gdzieś, w tym więzieniu, siedzi mój ojciec. Wiem, że ma bardzo ciężkie dochodzenie. Przez cały czas żądano od niego: powiedz, gdzie utopiłeś kasę./chodziło o kasę wojskową w czasie kampanii wrześniowej/.

Mój ojciec bowiem, widząc - że wszystko się wali - rozdał na wieś wszystkie konie. Kazał tylko usunąć znaki ewidencyjne, bo każdy wojskowy koń miał wypalone znaki. Natomiast kasę utopił w Bugu. Z tego powodu ojca strasznie bili, wozili nad Bug i nalegali: pokaż, gdzie utopiłeś kasę. Ale tam kasy już nie było, bo miejsce cowi chłopci już ją zabrali.

Słyszeć te dzikie krzyki torturowanych mężczyzn, to było strasne. Mnie ciągle wydawało się, że to krzyczy mój tatuś. Jak się później dowiedziałam, bili go strasznie.

Na "doprosie" miałam tylko jedną odpowiedź: ja nic nie wiem, nic nie słyszałam" jednym słowem byłam niewinna lilijka. Kiedy wróciłam do celi, zastałam panią Julię, rzewnie płaczącą. Okazało się, że ją zwymyślano okropnie. "On powiedział - skarżyła się przez siostry p. Julia - ty polityczeskaja prostytutka za 50 kapiejek". Starając się ją pocieszyć powiedziałam: pani wyliczył 50 kapiejek a mnie ocenił "tylko" na 15. Nie wiele to pomogło, bo p. Julia była panią bardzo pobożną i dla niej takie wyzwiska były nie do zniesienia. Mnie tam było wszystko jedno, co na mnie powiedzieli.

Taki magiel trwał przez trzy tygodnie. Po tym czasie mnie zabrano, załadowano do wagonu na bocznicę i zawieźli do Brześcia. Tu - nie wiadomo dlaczego - trzymano nas przez trzy dni. Stamtąd mam straszne przeżycie: za ścianką przebywała kobieta z niemowlęciem.

Dziecko płakało z głodu. To było coś tak potwornego: słyszeć płacz głodnego dziecka. Wreszcie zlitował się jakiś bolszewik i przyniósł jej trochę mleka. Ale to już było zbyt późno: dziecko już nie żyło.

Wreszcie przywieziono nas do sowieckich pociągów więźniarskich. Były one zupełnie inne niż polskie. W naszych były kabinki pojedyncze. Tam był jeden wagon, odgradzony siatką, więźniów doprowadzano korytarzem.

Podczas podróży straciłam poczucie czasu: nie wiedziałam, jak długo nas wieziono. Jedzenia nie dostawałyśmy. Dowieziono nas do Mińska. Tu zapakowano do "czornowo wrona" - specjalnego samochodu więźniarki. Takie same autobusy jeździły po Moskwie pomalowane nie na czarno lecz na niebiesko i na różowo. Z napisów wynikało, że tymi samochodami przewożone są lody. Chodziło o zachowanie twarzy wobec ambasad, żeby nie wiadziiano, że tyle więźniarek kursuje.

Przywieziono nas do NKWD. Tam były dwa więzienia. To, do którego nas zawieziono, mieściło się w byłym pałacu Sapiehów. Tam jednorazowo trzymano 17 tysięcy osób. Nas osadzono w "Mińsk, wnitrennaja tiurma NKWD". Było to więzienie najgorsze. Na pierwszym piętrze mieściło się 18 cel pojedynkowych. Na parterze były 4 cele, hurtowne, pod spodem łaźnia. Co było w trzech pozostałych celach, nie wiem. Tam przesiedziałam trzy miesiące sama w celi pojedynczej. Ściany budynku były bardzo grube a niewielkie okienko umieszczono wysoko, pod sufitem. Cella miała wymiary: trzy stopy na dziewięć stóp i na jedenastej stóp. Przypadkowo wypuścili Teresę Wittych. Natychmiast ustaliłyśmy wspólną linię postępowania na czekających nas śledztwie. Postanowiłyśmy mówić, że jedna o drugiej nic nie wie.

Bardzo często wzywano mnie "na dopros", i tam krzyczano: ty nam wszystko powiedz. Wreszcie pewnego razu zapowiedziano: zrobimy ci konfrontację. I po jakimś czasie przyprowadzono Wittychnówną. A przecież myśmy siedziały w jednej celi. Kiedy zobaczyłyśmy siebie, ryknęłyśmy ze śmiechu. Trzeba tu powiedzieć, że dla nas największą frajdą a dla nich złością było robienie z nich idiotów.

- No i co? Zapytałam.

- Nu kanieszno, ty wrah naroda, odparł.

Zacząłam się głośno śmiać. Krztusząc się ze śmiechu powiedziałam, że przecież to jest moja koleżanka z celi, że siedzimy z nią razem w jednej celi.

Myślałam, że go szlak na miejscu trafi. Zrobił się straszny krzyk. Następnie Teresę zabrali i gdzieś poprowadzili. Ale myśmy siedziały w jednej celi przez dwa dni i to nam wystarczyło.

Dalej siedziałam już sama, wzywana co noc "na dopros". Cały czas mówiono mi, że bym wszystko opowiedziała dokładnie. Ja mówiłam oczywiście, że nic nie wiem. Przez ten cały czas bałam się panicznie jednego: żeby nie hipnotyzowali. Dlatego przez cały czas wysilałam mózg: liczyłam wszystko, co mnie otaczało. Miało to zapobiec hipnozie. A tu nadal mnie wałkowano: powiedz prawdę. A ja nadal: nic nie wiem.

Wreszcie pewnej nocy wpuszczono do celi jakąś niewiastę, która stanęła w kącie, wyraźnie przerażona. Kiedy pierwsza do niej powiedziałam "dzień dobry", ona zastraszona ze zdziwieniem zapytała: to pani nie krysa? /szczur/. Odpowiedziałam, że chyba nie jestem podobna do szczura. A ona na to: mnie powiedziano, że umieszczą z kryszą. Jak się miało okazać, była to pani Bińkowska, z Pińska, która miała bardzo ostre śledztwo. Wzywano ją o północy. Mnie rów-

nież. Imienia jej nie znam. Pamiętam jedynie, że siedziała za sprawę męża. Ciągłe chcieli się dowiedzieć coś o jej mężu.

Ta kobieta ze zmęczenia słała się na nogach. Wówczas powiedziałam jej, żeby usiadła w kącie, na podłodze. Tam był niewielki stolik, wmurowany w ścianę i dwa niewielkie stołeczki. Siedzieć na tym nie było wolno. Wówczas zaproponowałam jej, żeby ona siedziała na podłodze, kładła mi głowę na kolanach i spała. Ona już wówczas była nieprzytomna. A tu już dyżurny wali w drzwi: spać nie można. A ja mu na to: a wszy można szukać? Kto tu mówi o spaniu? W ten sposób starałam się pomóc tej kobiecie.

Po dwóch tygodniach ją zabrano. Nadal siedziałam sama. W mojej sprawie nie było postępu. Badający mnie tylko krzyczeli: jak ty pałuczysz dziesiąt razy w mordę, tak zaczniesz gawarzyć. A ja nadal swoje: nic nie wiem.

Wreszcie pewnego dnia, przyszedł dyżurny i zapytał: czy są jakieś prośby czy zażalenia. Odpowiedziałam, że owszem: proszę zmienić lampę, bo ta przeszkadza w nocy spać. Efekt był nieoczekiwany: zainstalowano nową, dwa razy mocniejszą.

Ale z tego nauka nie poszła w las. Wśród strażników był taki jeden sadysta, który znęcał się nad nami. Kiedy ponownie zapytano nas, czy są prośby, powiedziałam, że tak: jest tu taki bardzo dobry dyżurny/to ten sadysta/, taki życzliwy, czy nie mógłby on częściej mieć dyżury na naszym korytarzu? Efekt, Nigdy go już nie widzieliśmy.

Już wówczas nawiązałam kontakt za pomocą alfabetu Morse'a. Porozumiewałam się z sąsiadami z celi nr 9, gdzie siedziało dwóch młodych chłopaków. Oni siedzieli za taką samą sprawę jak i ja. Po każdym powrocie wystukiwałam łyżką, o co pytają. Z drugą celą, siódmką, nie mogłam się dogadać. Albo cela była pusta albo był tam

ktoś, kto nie znał alfabetu. Ja siedziałam w celi nr 8.

Wreszcie się rozchorowałam, miałam straszne bóleści. Przez dwa dni nic nie jadłam a na trzeci dzień wezwałam lekarza. Kiedy on stwierdził, że mi nic nie jest, wskazałam mu chleb i powiedziałam że musi to być coś poważnego, skoro nie jem.

W rezultacie przynieśli pół szklanki zimnej rycyny i kazali wypić. I to było leczenie.

Po jakimś czasie do mojej celi wpuszczono p. Jadwigę Olszyńską, siostrę adwokata Olszyńskiego z Białegostoku. Tę panią spotykałam po przyjeździe do Palestyny we wrześniu 1942 r w Rekowdziej/?. Siedziałam z p. Olszyńską. Było mi trochę lżej, bo było z kim rozmawiać.

Przez cały czas straszono mnie na przesłuchaniach. Wreszcie powiedziano mi, że zostanę skonfrontowana z Lipką. Wówczas zrozumiałam, że jest niedobrze. Lipka był tym, który przyjmował przysięgę. Kiedy go przyprowadzono, na jego widok zrobiło mi się niedobrze. Szwy jego ubrania były dokładnie poprute, bo on właśnie w szwach miał nasze dane i adresy. Przy konfrontacji było kilku śledczych. Wówczas Lipka sam powiedział do mnie: niech pani im wszystko mówi, bo ja już im wszystko powiedziałem. Na te słowa zrobiło mi się niedobrze.

-No i co?

Nie wiem, o czym on mówi.

Powinna pani mówić i do wszystkiego się przyznać.

Kiedy wróciłam do celi, natychmiast zawiadomiłam sąsiadów: Lipka zasypał nas wszystkich.

Później, już w 1942 roku, kiedy byłam już w wojsku, przyszła do mnie służbowa ze słowami: pani Nelu, dwóch podchorążaków panią prosi. Kiedy wyszłam i rozglądałam się poszukując kogoś znajomego, podszedł do mnie młody chłopak ze słowami: pani siedziała w celi

nr 8 a my w celi nr 9. Porozmawialiśmy trochę wówczas. Nie wiem, co się z nimi później stało.

Po jakimś czasie przeniesiono nas - z p. Olszyńską - do celi parterowej. Tam było wiele osób: Stanisława Kowalska, moja łączniczka, Julia Masłoń obecnie Kicińska /mieszka obecnie w Kanadzie/. Były też tam dzieci: Lilia Szennicka, miała 14 lat i pochodziła z Grodna, Basia, harcerka - nie pamiętam jej nazwiska - też z Grodna oraz Krzysia Andrzejewska, l. 16, siostrzenica majora Kałaura z Białegostoku. Żal było patrzeć na te dzieci.

Była też p. Bogusławska. Znam jej córkę, która obecnie przebywa w Ameryce. Pochodziła z Augustowa i była aresztowana w sprawie jej męża, który w momencie aresztowania zdołał zbiec. Zabrano ją z pięciorgiem dzieci i 76-letnim dziadkiem i wywieziono do Rosji. Dziadek wkrótce zmarł, dzieci poszły do sierocińca, po wojnie wróciły do Polski. Właśnie z najstarszą /Henią/, która przebywa w Nowym Jorku - koreponduję.

Zdarzyła się b. nieprzyjemna historia z dwiema paniami Czarnieckimi. Jedna z nich była nauczycielką gdzieś z okolic Nowogródka a druga - ciotka tej nauczycielki - miała 76 lat, miała ogoloną głowę do skóry ze względu na wszy. Panią Czarniecką brano co dnia /nie co noc/ na rozmówkę. Pewnego razu wróciła i powiedziała, że wraca do Polski. Oszłupialiśmy: zrozumieliśmy, że poszła na współpracę.

W tym czasie zaczęło się urabianie mnie w tym kierunku: czy nie poszłam bym na współpracę. Broniałam się w ten sposób, że robiłam z siebie kompletną idiotkę, głupią gęś, która w ogóle nie wie o co chodzi: tak, gdy poślecie do łagru to oczywiście będę pracować.

A p. Czarniecka poszła. Nie wzięła żadnego adresu czy nazwiska. Zdecydowanie odmówiła.

Kiedyś zapytano mnie o to, czy znam sprawę Kutotiepowa. Był to

pułkownik NKWD, który w okresie międzywojennym w Paryżu poszedł na współpracę ze służbami specjalnymi Francji i zdradził wiele tajemnic NKWD. Sprawa stała się głośna, aż NKWD go wykradło i przewiozło do Rosji. Wspomnienie o tej historii miało przestrzec mnie o tym, że NKWD ma ogromne możliwości.

Ostatnie dochodzenie przeprowadzało ze mną aż pięciu drabów, z których jeden był chyba ze Szwecji, gdyż był jasnym blondynem. Nadal udawałam niedorozwiniętą niedojdę. Wreszcie to ich tak zdemerwowało, że powiedzieli: dura sześciennaja. To było moje ostatnie dochodzenie.

W uzupełnieniu: była jeszcze tam Anna Zermanówna, polonistka Pela Wróblówna/z ZWZ/, nauczycielka matematyki z gimnazjum im. Józefa Piłsudskiego. Znana była z tego, że miała warkocze do bioder. Wówczas miała tylko dwa mysie ogonki: na przesłuchaniach wyrwano prawie wszystkie włosy. Była też ciotka pani Klepackiej, żony nauczyciela z seminarium, p. Bronia. Spotkałyśmy się później w Karabasie. Została w Akmolińsku: nie przyjęto jej do wojska. Mimo naszych starań uparcie odmawiano, że jest za stara i komisja sowiecka nie puściła jej.

Po jakimś czasie wywieziono nas do dużego więzienia, w pałacu Sapiehów. Tam było coś, co się w naszych głowach nie mieści: były tam nieletnie, ośmioletnie prostytutki. Byli też tam jedenastoletni chłopcy którzy z dumą mówili, że siedzą za gwałt. Ich cela była vis a vis naszej. Widziałyśmy, jak oni wabili dyżurnego do swojej celi i wylewali mu zawartość parazy na głowę. Mówiono, że tacy mali napadali na przechodniów i grzili: jeśli nie dasz mi pieniędzy-ugryzę cię, a mam syfilisa.

W naszej celi nas siedemnaście miało do dyspozycji trzy łóżka. Brud i pluskwy były niewiarygodne. Przez jakiś czas spałam na po-

dłódze i na skutek tego dostałam zapalenia obu stawów barkowych. Karmiono nas raz~~ę~~ dziennie.

Niezapomnianym przeżyciem była Wigilia jeszcze w poprzednim więzieniu NKWD. Przyniesiono nam zupę z mięsem. Odmówiliśmy, bo "u nas dzisiaj jest post". Któraś z nas dostała bochenek chleba, którym podzieliłyśmy się jak opłatkiem i zaczęłyśmy śpiewać kolendy: najpierw cicho, a potem coraz głośniej. Nagle posłyszaliśmy, że na górze śpiewają mężczyźni. I po chwili śpiewało całe więzienie. Taka to była nasza więzienna wigilia.

~~Dostaliśmy~~ ^{DOŚCIĘDZIĄCYŚMY SIĘ,} po jakimś czasie - że wojewoda Jankowski popełnił samobójstwo: wyskoczył z piątego piętra. Zapanowało przygnębienie.

Musieliśmy chodzić na spacer, nawet o drugiej w nocy, na mrozie. Po dłuższym siedzeniu kobiety doznawały zanikania mięśni w łydkach. Zaczęłyśmy się masować. Szczególnie zajmowałyśmy się trójką dzieci 14-17 lat. Pела Wroblówna uczyła je matematyki, polonistka uczyła wierszy patriotycznych. Chodziło o ćwiczenie mózgu. Moim obowiązkiem było opowiedzieć dziennie jedną książkę tym dzieciom.

Pamiętam, że w celi była grupa kobiet z Wołkowyska /chyba/. Z nimi była Róża. Jedna z nich miała na imię Teresa. One nie lubiły nas, białostocczanek. Wyzywały nas ordynarnie.

W dużym więzieniu spacerów nie było. Po jakimś czasie wezwano nas i odczytano wyrok: 8 lat ciężkich robót /chyba w lutym 1941r/ i zapytali, czy będę pisać do Stalina prośbę o łaskę. Odpowiedziałam, że nie. Na pytanie - dlaczego? odpowiedziałam, że nie zamierzam tu siedzieć. Oprócz mnie 8 lat dostała p. Bogusławska a stara pani Czarnecka /76lat/ dostała 5 lat wolnej zsyłki.

Po wyroku wpuszczono mnie pierwszy raz do celi, w której były Rosjanki. Kiedy tam weszłam, wrażenie było okropne, wszystkie były

pólnagie i sprawiały wrażenie kłębowa robaków. Noc spędziłam na paraszy, obrzucona wyzwiskami. Nazajutrz wywołano mnie z zamiarem skierowania do transportu. Tu spotkałam p. Lenę Zylberfenig. Była ona właścicielką fabryki. Siedziała w Mińsku. Aresztowano ją z mężem w Świerdłowsku, podczas podróży do Argentyny/mieli wymagane dokumenty/, aresztowano troje dzieci i jej brata. Ośmioletnie dziecko skierowano do sierocińca, skąd wykupiono je za sowitą łapówkę. Zginęło ~~wówwax~~ później w Oświęcimiu.

Lena była ze mną w transporcie i uratowała mi życie, kiedy to w Orszy wykąpano nas we wrzątku a następnie posadzono na śniegu. Lena przygarnęła mnie pod swój koc, dała drugi płaszcz. W transporcie jechałyśmy w bydlęcym wagonie w najgorszymi kryminalistkami. Raz dziennie otrzymywałyśmy beczkę niesamowicie słonej kaszy. Z nami jechała pani Dereszowa, żona dyrektora z Choroszy. Była pod innym nazwiskiem. Była razem z córką ale podawały się jako kuzynki, z którą ją rozdzielono. Nie wiem, co się z p. Dorosową stało.

Przywieziono nas do Karabasów/obecnie są tam urządzenia atomowe/. Tam był punkt rozsylny. Stamtąd, po dwóch tygodniach, wyznaczono mnie i Lenę do Żenaarka. Kiedy wychodziłam, Cyganka chwyciła mnie za rękę, popatrzyła i powiedziała, że nie wysiedzę nawet pół roku. To było w kwietniu, a 3 września byłam zwolniona.

Jeszcze w Mińsku Lenę zapisano nie jako Polkę ale "biezpoddaną", na co ona nie zwróciła uwagi/Żenaarka-Jenaarka/. To było w Kazachstanie. Jechaliśmy przez "głodny step". Na miejscu tamtejsza kobieta ukradkiem dostarczyła nam kartki i ołówki, na których wypisaliśmy nazwiska aresztowanych. Ja wpisałam wszystkie znane mi białostocczanki. Stąd mój ~~pierszy~~ mąż otrzymał pierwszą wiadomość o tym, że żyję.

Przewieziono nas do obozu, gdzie spotkałyśmy Polaków z Kijow-

szczyzny. Był wśród nich obywatel ziemski, który rozdał nam po kartce pocztowej, abyśmy mogły napisać do domu, bo my nie miałyśmy za co ich kupić. On był tam już 25 lat.

Pierwszą naszą pracą - po wielu miesiącach siedzenia w celi - było noszenie worków ze zbożem. Później dowiedziałam się, że mają mnie skierować do pasienia owiec. Życzliwi uprzedzali mnie, że jeśli tam trafię, to zginę, gdyż ludzie tam pracujący chorują na brycyloz czyli zwierzęcy paraliż, który powoduje skręcenie człowieka do tyłu albo do przodu. Jest to choroba odzwierzęca, którą się zaraża przy porodzie owiec lub krów. Kiedy nas ustawiono w kole i zaczęto segregować do pracy, przypomniałam sobie treść pierwszej książki, którą otrzymałam od ojca - "Chata wuja Toma". Następnie pognano nas do roboty. Lenie kazani zamiatać. Kiedy to robiła, podszedł Rosjanin i zjadkowie spytał: to co, ty pani, salę bałową zamiatasz?". Lena aż się popłakała.

Następnie zagoniono nas do pracy w ogrodzie. Nigdy tam nie pracowałam. Kiedy źle posadziłam cebulę "dymkę", przyszli, sklęli i zagrozili dodatkową robotą, bo źle zrobiłam.

Tu spotkałam się z Wittychną. Byłyśmy razem udając, że się nie znamy. Jeść dawano nam jakąś "pochlopkę" oraz chleb surowy, bo więcej waży. Wreszcie kazano nam sadzić kartofle. Woły nie chciały słuchać ani ruszyć z miejsca. Franka - nie pamiętam jej nazwiska - pochodziła z Brześcia, była bezrędna. Wreszcie podeszła wyjątkowo śliczna dziewczyna, artystka filmowa/skazana na 5 lat/, podeszła do wołów i puściła taką "wiązanek", że nam, słuchającym, zrobiło się słabo. I woły ruszyły jak się patrzy. Tylko Franka powiedziała: a dyć by mnie matula zabili, gdybym jak tak powiedziała. Za to ją ukarano skierowaniem do opróżniania szamba. Zatrula się siarkowodorem i zemdląca.

Mnie z Teresą skierowano do nawadniania! Pracowałyśmy boso, a

wokół chodziły olbrzymie tarantule.

Po jakimś czasie otrzymałam paczkę od męża, jedną jedyną. Była w niej paprykowana słonina. W pracy jak i w baraku byłyśmy pilnowane jako polityczne i także dlatego, żeby kryminalistki nas nie pozarzynały. Nocą dyżurna nagotowała zupy ze słoniną i o tym ktoś doniósł władzom. Skończyło się na strachu.

Tam dostałam strasznej malarii. Mam ją do dziś. Za każdym razem na ⁶badaniach w Australii jestem powodem sensacji: skąd masz azjatycką malarię? Byłam żółta jak cytryna. Z tego powodu posłano mnie do innej pracy - robienia tzw. samanów, tj. podwójnych cegieł. Robiło się je ze słomy i krowich odchodów, które należało wymiesić nogami. Norma, której nigdy nie wykonałam - wynosiła 360 cegieł lub 180 samanów dziennie. Wyrzucono mnie i skierowano do pracy na dachu. Tam, 13-go sierpnia 1941, na dachu usłyszałam: wsie Palaki, političeskije, idut na swabodu. Natychmiast zeskoczyłam z dachu i odmówiłam dalszej pracy, bo przez radio powiedziano, że jestem wolna.

Jeszcze wcześniej spotkałyśmy 12 prawosławnych zakonnic, które odmówiły pracy. Myśmy im pomagały. Przynosiłyśmy im jarzyny z ogrodu, bo ich nie karmiono. Później je rozstrzelano.

Zaczęto nas zwalniać. Wyszłam w trzeciej, ostatniej grupie. Było to 3-go września. Została jedynie Lena, bo "bezpoddannaja", nie Polka. Kiedy dotarłam do Karabas, punktu rozsylnego, spotkałam jej męża i mu o tym powiedziałam. On starał się przez trzy tygodnia, zwolnił ją i wyjechali oboje do Ałtajskiego Kraju. Spotkałyśmy się po wojnie w Melbourne. Ona umarła 28 lat temu. Jej syn ukończył Gimnazjum Zygmunta Augusta i jest w kontakcie z p. Henrykiem Czernickim.

W Akmolińsku siedziało jakieś 20 tys. kobiet za sprawę Jagody. Nas właśnie wysłano do Akmolińska, nie do Buzułuku. Nie chciano nas puścić do wojska lecz nad Amu-darię. Kiedy w drodze zoriento-

wałyśmy się, gdzie nas wiozą, uciekłyśmy z transportu. Wówczas skierowano nas do kołchozu, gdzie przebywałyśmy przez parę tygodni. Stamtąd skierowano nas w góry, gdzie cierpiałyśmy z głodu. Tam dowiedziałamy się, że przyjechał mjr Ostrowski/później zginął pod Monte Cassino/. Przy jego pomocy ruszyłyśmy we cztery do wojska. W Kaganie na ulicy spotkałam księdza, który sądził, że nie mam 17-tu lat/warunek wstąpienia do armii/gdy ja miałam 27 lat. Tam dowiedziałam się, że tu przebywa mój ojciec, aktualnie przebywający w Bucharze służbowo. W Guzarze spotkałyśmy p. Felsztynową, która była specjalistką d/s balistyki, profesorem Politechniki Warszawskiej. Z pochodzenia była Francuzką. Tam, na ulicy spotkałam ojca.

Wówczas najadłam się do syta. Widziałam ojca trzy razy. Później dowiedziałam się, że jest chory na tyfus. Żona doktora Niedźwiałońskiego z Białegostoku była kierowniczką sióstr w szpitalu twierdziła, że dziennie umierało 50 osób. Ona zajęła się moim ojcem i go uratowała.

Zameldowałam się u legionistki, p. Przystojko, która mianowała mnie szefem obozu. Tam przyjechała później p. Obertyńska.

31 marca /1942r/ ciężarówkami przewieziono nas do Krasnojarska/do Krasnowodskaja jednak/ i tam, z 5DP do Iranu. Przez morze jechaliśmy w strasznych warunkach. w Iranie odwołano nas i skierowano do Teheranu. Persjanki były do nas dobrze usposobione. Zapraszały nas przy każdej okazji i nas karmiły.

15-go maja wyjechaliśmy z Teheranu. Było nas 60: Beata Obertyńska, Teodozja Lisiewicz, Irena Pachłowska i in. Skierowano nas do Anglików. Tak znalazłyśmy się w Palestynie. 1-go czerwca 1942r znalazłyśmy się w Rekowod. Znalazłyśmy się za płotem rezydencji późniejszego prezydenta Izraela. Weitzmana, który był dla nas bardzo grzeczny. Stamtąd wysłano nas na kurs do Sarafandu. Tam przeszłyśmy twarde kursy rekruckie. Po 6-ciu tygodniach wróciłyśmy do Rekowodu, gdzie zaczęły nadchodzić nasze transporty. Byłam komendant

1-go plutonu łączności. Tu, w Białymstoku spotkałam swoją uczennicę, Marjańską. Wykładowcą był por. Aleksandrowicz, komendantem był mjr Kałupo. Na inspekcji był gen. Tokarzewski i zaczął od awantury, dlatego wśród nas jest taka tleniona blondynka. W rzeczywistości była to albinoska: białe włosy i czerwone oczy. Była to Irene Szwaja, najszybsza radiotelegrafistka w II-gim Korpusie

Obok był pluton transportowy prowadzony przez Stanisławę Kowalską. Na zakończenie kursu transportówek gen. Tokarzewski zabrał je wszystkie do samochodów i zawiózł na cmentarz i powiedział: żeby was tu nie było i żebyście tak jeździły, aby nikt tu się nie znalazł.

Nasze wojsko na Bliskim Wschodzie było silnie infiltrowane przez Sowietów. Wydział II-gi, prowadzony przez p. Malanowicz, zde-maskował kobietę, pułkownika NKWD.

Przez cały czas sądziliśmy, że pójdziemy do Polski przez Bałkany a nie przez Włochy. Dopiero w Egipcie zorientowałam się, że będzie inwazja. Przez cały czas byłam w szkoleniu. W Nazarecie w szkole było -razem z personelem- 960 dziewcząt. Na skutek nieporozumień personalnych zostałam oficerem oświatowym w Kasasynie.

27 sierpnia 1947r przyjechałyśmy do Anglii do obozu Ontario. Tam przygotowywałyśmy się do życia w cywilu. Zaczęłam chorować i za radą lekarza wyjechałam do Australii /z mężem/. Początki były bardzo ciężkie. Mąż, wykładowca Lwowskiego Korpusu Kadetów pracował jako ślusarz a ^{ja} jako krawcowa. Zaczęłam pracować w organizacjach wojskowych, podtrzymywać polskość w naszej młodzieży. Mamy sobotnie szkółki dla młodzieży. Wspierał nas ks jezuita, ks. Janus, ks. Chrostowski/posiadał Virtuti Militari/, zmarł w Polsce. Obecnie mamy księdza Koperskiego, syn kaprała. Jest naszym kapelanem na całej Australii. Obecnie piszemy historię SPK w Australii.

Notował: S. Sianko.

ARCHIWUM WSC

Warszawa 1982